

WYDAWNICTWO „PIASTA“
KSIĄŻECZKA 7.

Nasi pod Kraśnikiem

napisał

Edmund Bieder.

CENA 40 HALERZY

K R A K Ó W. 1 9 1 6

**NAKŁADEM REDAKCYI „PIASTA“.
CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ.**

EDMUND BIEDER

NASI
POD KRAŚNIKIEM



KRAKOW.
NAKŁADEM REDAKCYI „PIASTA”.
1916.



CM 313652

PRAWO PRZEDRUKU I TŁOMACZENIA
ZASTRZEŻONE.

CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ
W KRAKOWIE, UL. JAGIELLOŃSKA 10,
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr *128* /2011/ *CM*

KRAKOWSKIM DZIECIOM
BOHATEROM
OFICEROM I ŻOŁNIERZOM
TRZYNASTEGO PUŁKU
PIECHOTY.

Prześliczny dzień sierpniowy.

Słońce, jakby się rozkochało w Krakowie, tak mży złotym pyłem na te mury dostojne i na te wieże prześliczne. A z wieży kościoła Panny Maryi grają hejnały dziś jakoś inaczej, niż dawniej... jakoś piękniej...

A i na ulicach jakiś ruch gorączkowy... odświętny...

„Będzie wojna z Moskalami

„W Polsce wielkie święto!“

I po duszach krakowskiego ludu przechodzi jakiś dreszcz gorączkowy... budzi się jakiś zapal święty, bo to przecież wojna z wrogiem, który nas najbardziej ciemniżył. I w sercach wstają bolesne wspomnienia; Murawiew..., Kroże..., mor-

derstwa na Placu Saskim w Warszawie...
ziemia Chełmska... cały szereg krzywd
plugawych i okropności.

I zęby ludu krakowskiego zaciskają
się jeno, a z oczu lecą złe błyski.

Na Rynku krakowskim tłumy nie-
przebrane.

Cóż to dziś za święto?

Wzdłuż linii A-B, po obydwu stro-
nach Rynku utworzył się gęsty, zbity
szpaler. A środkiem szpaleru maszerują
krakowskie wiarusy, ogorzałe, z ogniem
w oczach, zuchowate, roześmiane. Szare
czapki żołnierskie uginają się pod cię-
żarem kwiecica. Idą na wojnę, a zda się,
że idą na wesele. A muzyka gra defi-
ladę „trzynastki“, a chłopcy przyśpie-
wują od ucha w takt muzyki:

„Myśmy chłopcy, Krakowiacy,
Chłop w chłopu junacy,
Nie boimy się nikogo,
Prócz Boga jednego!“

Oficerowie przepasani szarfami wstąg krakowskich, a oprócz tego przez każdą prawie pierś przepięta szarfa polska, amaranowo-biała. Przy szablach, na bagnietach, na lufach karabinowych kwiaty...

A z tłumów, które stoją wzdłuż ulic, lecą okrzyki:

„A niechże wam Pan Jezus szczęści!“

„A niechże was Najświętsza Paniienka do zwycięstwa wiedzie!“

„A wracajcież zdrowo!“

„A walcie tam tych psubratów Moskali zdrowo!“

A z tłumów żołnierzy znów leci:

„Już my im damy „szkołę!“ woła Antek z Krowodrzy.

„Maryś krzep się!“ woła Wojtuś z Krzeszowic dorodny parobek do zapłakanej Marysi, pokojówki, z którą miał się żenić po świętym Michale,

I znowu;

— Matusiu nie! Nie płaczcie! Wróć da Bóg zdrowy!

— A wracajże synusiu kochany! Pamiętaj! Wróć! Z Bogiem!

— Z Bogiem! — odpowiada wiara.

A słońce śmieje się na błękitnem, czystem niebie i złoci aureolą głowy przyszłych bohaterów, tych cudownych żołnierzy z krakowskiej „trzynastki“, co się nie odrodzili od tych swoich dziadów i pradziadów, którzy ongi z „Napolionem“ przeszli pół świata i zostawili po sobie pamięć najlepszego żołnierza na świecie.

I rad jest Kraków swoim dzieciom i śmieje się ku nim całym przepychem swych wież kościelnych i murów dostojnych i choć łąza rozrzewnienia niejedną parę oczu przesłania, że może oni nie wszyscy wrócą, jest w tem rozrzewnieniu i duma ogromna z dzielnej postawy tych zuchów, która każe za-

pomnieć o tem, że te kochane chłopaki, te „Antki krakowskie“, jak ich nazywają żartobliwie żołnierze z innych pułków, idą patrzeć śmierci prosto w oczy, i że ich czeka mogiła w czystem polu, albo kalectwo na całe życie.

Idzie kompania za kompanią, że aż dudni po bruku! Wtem z ostatniego, czwartego batalionu, odzywa się z piętnastej kompanii, którą prowadzi kapitan, Witold Filimowski, samorzutnie melodia, którą w tej chwili podchwytuje cały batalion:

Oto dziś dzień krwi i chwały!...
Oby dniem wskrzeszenia był!...
Leci w górę orzeł biały
W błękit patrząc wzrok swój wpił...

Mężczyźni cywilni w jednej chwili obnażają głowy...

A kiedy pod niebo powionęła ostatnia strofa „Warszawianki“;

„Leć nasz orle w górnym pędzie,
Polsce, Sławie, Światu służ,
Kto zwycięży, wolnym będzie,
A kto poległ, wolnym już“.

ły trysły z oczu ludzi, odprowadzających „dzieci krakowskie“ na kolej.

Na dworcu kolejowym cisza przegromna.

Jeszcze ostatni pocałunek, ostatni uścisk dłoni, ostatni uśmiech żołnierski z pod oczu bijących dziwnie szlachetną świętością, ostatnie, dobre, serdeczne słowo...

Może ostatnie...

A potem pułkownik.

Krótko, po żołniersku:

„Za Cesarza, za Ojczyznę, za Polskę!“
I jeden przeciągły, niemilknący okrzyk,
jak huk fali o skalny brzeg morza.

Przysięga żołnierska najszczerza!...

Wozy kolejowe strojne w chorągiewki

o barwach krakowskich i polskich. Tak się godzi.

Wreszcie sygnał odjazdu... przeciągły świst lokomotywy i pociąg rusza z wolna przy dźwiękach:

„Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy!”

Na pole krwi i chwały...

Takim był odjazd krakowskich dzieci...

.

Wojskowy pociąg z wolna posuwa się po szynach ku wschodowi.

W wagonach kolejowych nieco przycichło, choć tu i ówdzie wyrwie się junacka żołnierska piosenka, którą wnet podchwytną drudzy i zaraz cały wagon chórem śpiewać poczyna. A pociąg mknie coraz dalej na wschód przy dźwiękach piosenki i uwozi coraz dalej

od ukochanego miasta te drogie mu dzieci, na twardą dolę i trud.

A starcy i dziewczęta wiejskie, pracujące na zagonach wzdłuż toru kolejowego, powiewają chustkami, pozdrawiają i wołają:

— Zdrowo chłopcy! Zdrowo!

A kiedy pociąg zaczyna zbliżać się ku puszczy Niepołomickiej, kiedy wieże kościołów zaczynają już jako szare kontury majaczeć, nagle ze wszystkich wozów wychylają się głowy i oczy śledzą bystro mury tego miasta ukochanego, jakby pragnęły mieć je ciągle przed sobą, ciągle... zawsze... nawet w godzinie śmierci!

I choć to niemęska i nieżołnierska rzecz płakać, chłopcom krakowskim wilgotnieją oczy i niejeden z nich rękawem łzę ściera ukradkiem.

Dobre, wierne dzieci tego miasta, co ich witało hejnałem w kolebce, a dziś,

kiedy dań krwi idą spłacić Ojczyźnie,
żegna ich hejnałem...

W jednym z ostatnich wagonów po ostatniej strofce piosenki zaległa naraz cisza. Żołnierze potworzyli grupki po kącikach i gwarzą między sobą z cicha o tych, którzy im są najbliżsi, a których musieli zostawić. Są to ludzie przeważnie żonaci, więc na twarzach znać troskę o żony, dzieci i dobytek. Zwierzają się przed sobą, jak bracia i pocieszają wzajemnie. Ale na wszystkich wargach jedna i tasama przysięga:

„Musimy zdobyć Warszawę!“

„Musimy uwolnić naszych braci z pod Moskala!“

„Nie będzie zbój pił naszej krwi!“

„Nie będzie deptał naszej wiary!“

Tytularny kadet-feldwebel z odznakami jednorocznego ochotnika, Roman Dubiel, aczkolwiek mógł dostać wygodniejsze pomieszczenie w oficerskim

wozie, oświadczył kapitanowi, że woli być razem z chłopcami swojego plutonu i wyjednał sobie pozwolenie jechania wraz z nimi. Kapitan zgodził się na to chętnie, bo obecność Dubiela w wagonie, dawała mu rękojmię porządku. Dubiel zaś miał swoje powody ku temu, że właśnie wsiadł do wozu żołnierskiego, a nie oficerskiego. Dubiel był chłopskim dzieckiem, synem ubogiej wdowy na dwóch morgach gruntu, z którego wyżywić musiała siedmioro młodszego rodzeństwa Romana. Roman musiał się sam przebijać przez życie. Sam o własnych siłach przebił się przez gimnazjum, utrzymując siebie i pomagając jeszcze matce, skończył uniwersytet i sposobił się do egzaminu sędziowskiego właśnie, kiedy go zaskoczyła wojna. Ślepy traf zrządził, że w kompanii, do której został przydzielony, zastał prawie samych swoich ze

wsi rodzinnej. Znał ich prawie wszystkich po imieniu, bo w latach chłopięcych uczęszczał razem z nimi do szkoły, a później spędzał każde wakacje i święta w ich gronie. Było więc w wagonie dwóch braci Rymarów, byli Kołodziejczyki, był Galica i był między innymi, chłop jak tur, Wawrzuś Broniec, wszystko sami serdeczni przyjaciele Romka.

— Romuś! Ty razem z nami? nie w oficerskim wozie? — zapytał pierwszy Broniec.

— Albo mi to źle między wami? A cóż wy sobie myślicie, że ja nie wasz?

— Ano niby nasz i nie nasz! — wtrącił Galica.

— Zawszeć ty i sędzia i jednoroczny i wyższa niby szarża, a my zwykłe frajtry — wtrącił młodszy Kołodziejczyk.

— A dajże mi pokój Jasiu z mojem

sędziostwem i z szarżą i nie kłuj mnie tem wszystkim w oczy! Jesteśmy wszyscy żołnierzami, a kula nie pyta na wojnie, kogo ma trafić, żołnierza, czy oficera! — przerwał niecierpliwie Dubiel.

— Co tam na wsi? — zwrócił się do Brońca. Umyślnie nie pojechałem pożegnać się z biednym matczyskiem, żeby jej oszczędzić łez przy pożegnaniu. Posłałem tylko trochę pieniędzy i list.

— Jeden tylko list? — zapytał Broniec z figlarnym uśmieszkiem.

— Ano, skoro wiesz o wszystkim, to ci się przyznam, zem się i z Twoją siostrą Hanusią pożegnał listownie. Cóż mówiła?

— A spłakało się biedne dziewczynisko, że mi samemu ciężko było ją uspokoić. Głęboko jej widać zalazłeś w serce! Pomyśl sobie! Z moją Wi-

ktusią też miałem kłopot ogromny, bo dziewczucha koniecznie chciała ze mną jechać do Krakowa i dopiero, jak jej powiedziałem, że jej nie puszczą, dała sobie spokój, ale i tak się zbekszała na dobre. Musiałem jej przysiąc, że będę codzień do niej pisał.

— Bardzo się kochacie? — zapytał Romek.

— Wiesz przecież dobrze, więc czego pytasz! Byłbym się pod jesień żenił, żeby nie ta wojna.

— I ja byłbym zrobił to samo, bom właśnie miał zdawać egzamin sędziowski. Ale cóż? Trzeba iść na wojnę, a to przecie najważniejsza rzecz teraz. Zobaczysz Wawruś! Po wojnie dożyjemy obaj lepszych czasów! Będzie wszystkim lepiej!

— Daj Boże przeżyć i dożyć! — wtrącił starszy Kołodziejczyk.

— No! no! no! O ciebie się tam

nie boję—zauważył Broniec.— Takiego mikrusa, jak ty, kula nie będzie wiedziała, gdzie trafić. Najważniejsza rzecz na wojnie, żeby prażyć wroga, a samemu kryć się dobrze. Nie wiesz Romku, kto nami dowodzi?

— Słyszałem, że generał Dankl! Ma być chłop morowy i strasznie jest kontent, że ma w armii swojej prawie same polskie pułki. Pamiętajcie chłopcy, że mu nie możemy zrobić wstydu!

— Już my mu tam wstydu nie zrobimy! — odezwał się chór głosów w wagonie. Żeby ino prędzej zobaczyć Moskali!

— Nie bójcie się! Wnet ich zobaczymy! — uspokajał Romek Dubiel. Co tam będzie po wojnie z nami, tego ani ja, ani wy przewidzieć nie możemy. Teraz grunt, bić się! Bić się tak, jak się bili nasi ojcowie i nie sprzeniewierzyć się sztandarowi. Musimy światu

pokazać, że Polak, chłop, szlachcic, czy mieszczanin, to rycerz! to żołnierz!

— Nima strachu, panie kadet! — odezwał się z kąta Antek Makolągwa, murarz z Krowodrzy w andrusowskiem narzeczu, zaprzestawszy nagle grać na ustnej harmonijce. — Niech się pon nie boi, panie kadet! Jo som carowi nogi z korzeniami powyrywom i dom mu się niemi pobawić! A jest nas tu więcy od kielni i wasserwagi. Cóż pon myśli, panie kadet, że ino wsiowi się bić potrafią, a murarze z Krowodrzy nie? Panie kadet! Żebym teraz miał tyle tyśiączek, ile dni „einzla“ mi wrzepił pułkownik Łyczkowski za bitki, tobym teraz jechał jak bankier, a nie jak murorz na wojnę.

— Takiś bitnik? — odezwał się Roman z uśmiechem.

— To się wi, panie kadet! Przeciem

przez garnizon musiał dwa lata nad-
sługiwać przy wojsku.

— Jakże to było?

— Ano, zaczęło się prosto. Jednej
nocy byłem kapralem odednia. Pon wi,
panie kadet, że spać w cymbrze nie
wolno. Wzionem więc ołówek do graby
i zaczonem pisać list do mojej na-
rzeczonej, Mańki z Czarnej wsi. Ponie-
waż oficer inspekcyjny pan oberlajtntant
Koniakowski już był w mojej cymbrze
na wizycie, więc se mówię w duchu:
Antek, teroz se możesz kapkę kimnąć.
Ledwiem se kimnął, włazi do cymbry
Duch święty...

— Co za Duch święty — zapytał
Kołodziejczyk.

— Ano pułkownik Łyczkowski, bo-
śmy go tak w całym pułku nazywali.

— No i co? i co? — odezwał się
chór głosów.

— Ano nic. Ktoś mi kładzie naraz

rękę na ramieniu i mówi niesamowitym głosem:

— Tagskapral Makolągwa! wstań!

Przetarłem oczy, salutuję wyciągnięty jak struna i melduję:

— Kapral odednia, Antoni Makolągwa, melduje najposłuszniej, jako, że ma w cymbrze*) 41 ludzi, a trzech ma „przezczas“ do 6 rano.

— Synu! — mówi pułkownik Łyczkowski. — Jestem stary żołnierz, stara kość, należy mi się wypoczynek na stare lata. Już sobie leżałem w łóżku i chciałem sobie wypocząć, aż tu naraz zjawia mi się nad łóżkiem Duch święty i powiada: „Pułkowniku Łyczkowski! Wstań! Wstań pułkowniku Łyczkowski, a idź ty do trzy-nastego regimentu i zobacz, jak tagskapral Makolągwa pełni służbę!“ Zwlokłem stare kości z łóżka i przychodzę

*) Sypialnia.



po deszczu do regimentu i patrzę... patrzę... i oczom swoim starym nie wierzę... Tagskapral Makolągwa śpi...

— Zawiniłeś tagskapral Makolągwa?

— Melduję najposłuszniej panie pułkowniku, com zawinił — odpowiadam i walę ostro w dach.

— Synu! — mówi słodkim głosem pułkownik — dobrego miałeś księdza katechetę w szkole, skoro wyznajesz swe winy. Nie jesteś jeszcze tak zepsutym, za jakiego cię miałem. To mnie cieszy, to mnie bardzo cieszy!

— Melduję najposłuszniej, co się poprawię — odpowiadam, pewny, że mnie nic już złego nie czeka.

— Synu! — mówi pułkownik słodko. — Coby się stało, gdyby w tej cymbrze, nad którą masz czuwać, spał Najjaśniejszy Pan, a przyszedł wróg zdradziecki i ugodził broń Boże w to serce bijące taką szlachetną miłością dla

wszystkich swoich wiernych poddanych, skrytobójczym sztyletem? Ktoby był winien?

— Melduję najposłuszniej, co ja! — odpowiadam z pokorą.

— Nieprawda Makolągwa! Ja byłbym winien, ja, twój pułkownik, że takiego... syna trzymam w pułku bez kary! — zaryczał „Duch Święty“.

A potem znowu słodziuskim głosem:

— Synu! Dostajesz sześć centów żołdu na dzień?

— Melduję najposłuszniej panie pułkowniku, co dostaję!

— Synu! Dostajesz trzy bochenki chleba na pięć dni?

— Melduję najposłuszniej panie pułkowniku, co dostaję!

— Widzisz synu! Tak Najjaśniejszy Pan dba o żołnierza! Bo jakieś głodny i zameldujesz się do raportu w kom-

panii, to nawet „Brotzubuss“ *) możesz dostać! Tak Najjaśniejszy Pan dba o żołnierza, ale o żołnierza, a nie o takiego... syna, jak ty! Tagskapral Makolągwa! Zawiniłeś?

— Melduję najposłuszniej, com zawinił!

— Cieszy mnie to synu! Kto uznaje swoje winy, ten się jeszcze może poprawić. Tagskapral Makolągwa! Dostajesz codziennie na obiad pół funta mięsa do menaży i zuśpajs? **)

— Melduję najposłuszniej panie pułkowniku, co dostaję!

— Synu! Masz „waffenrok“ ***) na sześć złotych guzików zapięty?

— Melduję najposłuszniej, co mam!

— Widzisz synu! Tak Najjaśniejszy Pan dba o ciebie! A jak wyjdiesz

*) Pół bochenka chleba więcej.

**) Legomina.

***) Bluza paradna.

w niedzielę o drugiej z kasarni, a idziesz sobie z papierosem w twarzy przez ulicę Floryańską, to dziewczęta tak oczy wytrzeszczają na ciebie, że im o mało z głów nie powyskakują. Bo dziewczęta wiedzą, że to idzie żołnierz, ż o ł n i e r z z trzynastego regimentu, i śmieją się do żołnierza, Makolągwa! zrozumiałeś! ale nie do takiego... syna, jak ty, co w służbie śpi!

— Zawiniłeś Makolągwa?

— Melduję najposłuszniej, com zawinił.

— A widzisz synu! To mnie cieszy, że uznajesz swe winy, bo może się jeszcze poprawisz. I ja ci to mówię synu, że ty się napewno poprawisz, bo musisz synu! A jakby nie, synu, to cię tak skryję w „garnizonie“ *), że przez dwa lata słońca nie będziesz oglądał!...

*) Więzienie garnizonowe.

— Tagskapral Makolągwa! Zawiniłeś?

— Melduję najposłuszniej, com zawinił!

— Tagskapral Makolągwa! Jestem człowiek sprawiedliwy, ale miękkiego i dobrego serca. Ponieważ uznajesz swe winy, więc cię srogo karać nie będę, ale to, co mam, to ci dam! Masz 21 dni „einzla“ *).

Żołnierze młodszy, którzy tylko z tradycyi znali pułkownika Łyczkowskiego, po ostatnich słowach Makolągwy, naśladujących wybornie łagodny głos jego, parsknęli chórowym śmiechem.

— Opowiadaj dalej, w jaki sposób się to stało, żeś musiał dwa lata dłużej służyć w wojsku? — zapytał rozęśmiany Dubiel.

*) Najwyższa kara dyscyplinarna, jaką rozporządza pułkownik: 21 dni aresztu celkowego.

— Ano nic! panie kadet! Jednej niedzieli melduję się panu nadporucznikowi Kurmańskiemu, żeby mi dał „przezczas“ *) do rana. Kurmański, dobry chłop, dał. Ubrałem się więc elegancko w ekstrabluzę i walę Floryańską ku Rynkowi. Po drodze wstąpiłem do dystylarni Kulczyńskiego, żeby sobie kropnąć jednego na skrzepę, bom się wybierał do mojej narzeczonej Mańki. Ledwie wypił może ósmy dopiero półkwaterek anyżowej z mocną, a tu przylatuje do mnie cugsfirer Waś z kompanii pana kapitana Madziary, co jest teraz pułkownikiem przy 56. i mówi do mnie:

— Antek! Chodź co tchu do szynku naprzeciw, bo pionierzy biją naszych!

— Co? — — Pionierzy biją naszych

*) Pozwolenie na wyjście z koszar.

trzynastaków? — Niedoczekanie! Ilu ich jest?

— Naszych trzech, a tamtych będzie z piętnastu.

— Damy im radę?

— Coby nie? Ino chodź duchem!

— Ano skoczyliśmy w ciżbę. Jakeśmy z Wasiem zaczęli robić porządek, tak za pięć minut był. Waś robił młynka krzeselkiem, a ja wydobyłem kozik z pochwy i macałem bagnetem po zio-brach. Wie pan, panie kadet, że to strasznie słaby naród te pionierzy! Ledwo go huknąć pięścią między oczy, a już leży na ziemi, choć niby wygląda na mocnego.

— I daliście im radę? — zapytał Wawrzuś.

— A coby nie! Pięciu leżało na ziemi, a reszta z rozbitymi łbami uciekła na ulicę. Jeden z tych pięciu, któremu ino trzy żebra złamałem, leżał na ziemi

i udawał nieżywego. Strach, co za słaby naród!

— No i cóż się stało dalej? — zapytał Kołodziejczyk.

— Ano cóżby? Przyszła patrol i zabrała mnie i Wasia na odwach za takie głupstwo, że sobie tam kilku pionierów odpoczęło w szpitalu. Potem dostałem naturalnie w sądzie garnizonowym pół roku, a Waś dziesięć miesięcy.

— To dopiero pół roku — zauważył Wawrzus Broniec — a gdzie reszta?

— Reszta przyszła potem. Jednej niedzieli idę sobie z Podgórze i na środku mostu zaczepia mnie jakiś szewc słowami: „O! Idzie Antek z trzynastki! Antek oddaj cara!” — woła do mnie.

Jestem z profesyi murarz, a więc człowiek honorowy i nie będę przecież cierpiał, żeby mi taki dziad od dratwy ubliżał. Złapałem więc gawra za kołnierzyk i buch z nim z mostu do Wi-

sły. Było to w listopadzie, więc mu tam we wodzie musiało być ciepło. Wytaplał się trochę, ale go wyratowali ci zieloni sędziowie od akcyzy, co to stoją na rogatce. I za takie głupstwo, zem stanął w obronie honoru mojego pułku wrzepili mi znowu półtora roku garnizonu. I jest to sprawiedliwość, panie kadet?

— Mogłeś szewca utopić!

— Widział pan, panie kadet, żeby się szewc kiedy utopił? Taka jucha, to zawsze jak oliwa na wierzch wyjdzie.

— No! O ciebie Makolągwa, to się już nie boję. Ty także wypłyniesz i żadna kula rosyjska ciebie nie tknie — roześmiał się Dubiel.

— To się wie, panie kadet! A cóż pan myśli, że się nie będę żenił z Mańką po wojnie! Panie kadet! Daj pan grabę! Z takim, jak pan, tobym w piekło po-

szedł, ukraść żonę Lucyperowi! Pan jest człowiek z wiary!

I Dubiel uścisnął serdecznie grubą łapę Makolągwy.

W wagonie zaczął się robić nastrój coraz serdeczniejszy. Różnice stanowe znikły, a ich miejsce zajęło jakieś silne poczucie wspólności, prawie, że rodzinne. Każdy czuł się Krakowiakiem i każdy był dumny z tego, że na jego czyny patrzeć będzie Kraków. Ze żołnierskich oczu sypać się poczęły iskry świętego zapału, a w uszach dźwięczały wciąż słowa pułkownika:

„Za Cesarza! Za Ojczyznę! Za Polskę!”

I żołnierz poczuł swoją wartość. Poczł, że się bić należy, jak honor i tradycya żołnierska polska każą. I poczuł ten żołnierz, że choćby i kości młode położyć przyszło w szczerem polu, pod krzakiem jałowca, czy tarniny, to prze-

cież nie żal, bo się wie, dla czego się idzie i dla jakiej sprawy ginie.

I żołnierz zaczął nawracać myślą do swoich bezpośrednich przełożonych, do oficerów. A ta myśl wywołała nagle ciepłą, serdeczną falę, która niewidzialną nicią złotą powiązała serca podwładnych i przełożonych.

„Dziecko krakowskie“ ma bowiem tę nieocenioną zaletę, że mimo wrodzonej lekkomyślnej nieco beztroski, da się, jak jagnię prowadzić i wdroży się w karby nawet najsurowszej dyscypliny, byle ten, co go karze za przestępstwo, okazał mu trochę serca, byle był „człowiekiem z wiary“, jak nazwał Dubřela Makolągwa.

A w „trzynastce“ stosunek oficerów do żołnierzy był właśnie zawsze, jak najlepszy, bez względu na to, czy oficer był innej narodowości, czy „nasz“. Oficer przeniesiony z innego garnizonu,

skoro tylko poznał swoich ludzi, skoro tylko wyczuł, co to za przepyszny i junacki żołnierz, w parę miesięcy po przybyciu do Krakowa, już był „nasz“ i z trwogą oczekiwał zawsze dnia awansu, który miałby się skończyć przeniesieniem do innego pułku...

Toteż i w wagonach oficerskich było jakoś jasno i wesoło, bo rozmowy były prowadzone przeważnie na temat różnych „kawałów“ dotyczących „trzy-nastaków“.

— Wiecie panowie — odezwał się pułkownik Kandler, do grupy oficerów która się koło niego skupiła — że wdzięczny jestem niezmiernie Panu Bogu, że w tym roku wielkiej wojny zesłał na mnie taką łaskę, że dał mi dowództwo nad takim pułkiem! Panowie może nie zdajecie sobie wszyscy sprawy z tego, jakie to skarby macie w tych żołnierzach! Tylko oszczędnie! panowie!

oszczędnie! I trzymać trzeba w garści mocno, bo to łby zapalne! A jak się taki żołnierz raz w ogniu zapali, gotów iść z gołą pięścią zdobywać armaty. Oni to już mają we krwi te dzielne chłopaki — dodał z odcieniem rzewnej serdeczności w głosie.

— Albo ich to nie znamy? — panie pułkowniku — odezwał się major Tomaszek. — Dopóki są w garnizonie, to tam jeden z drugim coś przeskrobie, ale skoro się ich ma w polu i zaapeluje do ich żołnierskiego honoru, to się dzieci tak trzymają, że aż dusza rośnie! Służę w pułku czas dłuższy, więc znam ich na wylot. Co ty na to Perstinger? — zwrócił się do porucznika, rasowego Wiedeńczyka.

— Nie znam lepszego żołnierza! — odpowiedział Perstinger z uniesieniem.

— Poczekaj! — wtrącił się kapitan Koniakowski. — Jesteś jeszcze młody!

Skoro tylko posiedzisz parę lat w Galicyi i poznasz inne pułki polskie, sam nie będziesz wiedział, który pułk najlepszy.

— Masz rację kapitanie! — wtrącił młodszy Modes, adjutant pułkowy — widziałem na Błoniach parę dni temu polskich Strzelców, ochotników. To przecież dzieci jeszcze prawie, a każdy ćwiczył karabinem, jak stary, dorosły żołnierz. Z tymi to Moskale będą mieli ciężką przeprawę, bo na słowo „Moskal“ oczy im się świecić poczynają, jak żbikom! Taki malec wszędzie się prześliznie, wszędzie skryje, a już nie chciałbym być w skórze tych Moskali, których oni wezmą na swoje bagnety!

— A zatem wiecie panowie, z jakim materiałem ruszacie w pole — odezwał się pułkownik.— To mnie cieszy. A więc oszczędnie z ludźmi! jeszcze raz powtarzam z naciskiem o s z c z ę d n i e! Trzy-

mać w karbach ich żołnierski temperament, żeby tam, gdzie nie potrzeba, uniknąć strat.

— Już ja za moją kompanię ręczę — odezwał się kapitan König. — Przeważnie stary, doświadczony żołnierz, więc się i bić i kryć dobrze potrafi.

— I ja! i ja! i ja! — odezwał się chór głosów oficerskich.

— To dobrze panowie! to bardzo dobrze! — rzekł z uśmiechem na marsowej twarzy pułkownik — że ufacie swoim ludziom! Mam w Bogu nadzieję, że się i oni w nas wszystkich, jak tu jesteśmy, na tem swoim zaufaniu nie zawiodą. Kapitanie Tschede! Słuchajno chłopie serdeczny! Wiceprezydenci miasta, panowie Szarski i Saare, wręczyli mi przy pożegnaniu dość pokaźną kwotę na poprawienie wiktów swoim ukochanym trzynastakom, którzy odchodzą na plac boju. Ten objaw miłości ze strony

miasta dla swych dzieci, ogromnie mnie wzruszył. Myślę, że to będzie potrzebą wszystkich naszych serc oficerskich, żeby tę sumę jeszcze powiększyć. Zdejm czapkę z głowy i urządz zbiórkę wśród kolegów.

To rzekłszy, rozpiął bluzę polową, wydobyl z kieszeni dwa banknoty stukoronowe i wrzucił je do czapki Tschedego.

Za pięknym przykładem pułkownika poszli w tej chwili oficerowie. Kapitan Raninger wrzucił także dwieście koron.

— Ho! ho! ho! kapitanie! — zaśmiał pułkownik — aż tyle? I to z kapitańskiej gaży! Chcesz mi widzę dorównać.

— Co mi po pieniądzach w polu? — odparł kapitan Raninger skromnie.

Za chwilę czapka kapitana Tschedego wypełniła się prawie po brzegi banknotami.

— Ile? — zapytał pułkownik, wi-

dząc, że kapitan Tschede skończył liczenie.

— Dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt koron! — brzmiała odpowiedź.

— Brawo panowie koledzy! Brawo! Nie zbraknie naszym chłopcom papierosów w polu — rzekł zadowolony z wyniku zbiórki pułkownik.

Po chwili rozwinął przed sobą mapę i zatopił w niej swe oczy.

Oficerowie poszli za przykładem pułkownika. Każdy z nich czuł, że od niego zależy życie tych żołnierzy, których kochali wszyscy, jak braci. To już nie nudne życie w garnizonie, to już nie manewry, ale wojna, gdzie krew się leje i gdzie życie ludzkie gaśnie. I każdy z nich bezwiednie poczuł cały ogrom odpowiedzialności, jaka na nim ciąży, nie tylko za byt żołnierza i własny, ale za byt państwa. Wierzyli wszyscy w zwycięstwo, wierzyli w siebie i żołnierzy,

ale nie lekceważyli sobie wroga, wiedząc dobrze, że przypadnie im się zmagać z dziesięćkroć liczniejszym przeciwnikiem, świetnie od lat szeregu przygotowanym do tej wojny, która miała zadecydować o tem, czy Europa będzie nadal kulturalną, czy też ma skoczyć. Więc ich oczy nabrały stalowych blasków, z których przebijała myśl jedna:

Wola zwyciężenia wroga.

O świcie pociąg wojskowy stanął u celu na małej stacyjce. Na trzynastkę czekały już dymiące kotły ze śniadaniem.

Wysypali się żołnierze w jednej chwili z wozów, wyskoczyli oficerowie z browningami u boków i stanęli na czele powierzonych sobie oddziałów.

— Gdzieżeś ty się skrył Dubiel? — odezwał się Tschede, widząc Romka, wyskakującego z żołnierskiego wozu.

— Byłem razem z żołnierzami. Mam wśród nich dużo kolegów z lat dzieciennych z tej samej wsi, z której i ja pochodzę. Chciałem o tem i o owem porozmawiać.

— Toś musiał zmarznąć! Na! Masz! Łyknij koniaku na dzień dobry — rzekł Tschede, przypijając do niego z manierki. — Twoje zdrowie!

— Zdrowie! panie kapitanie! Dziękuję!

— Jak tam ludzie? Co? — zapytał Tschede.

— Zuchy! Palą się jak sto dyabłów do wojaczki. Będzie Moskałom ciepło!

— I ja też tak myślę, że im będzie ciepło!

Naokoło budynku stacyjnego roiło się tymczasem od żołnierzy z różnych pułków, przeważnie polskich, bo pierwszemu korpusowi krakowskiemu los

kazał odnieść pierwsze zwycięstwo nad wrogiem.

— Jak Boga mego! — krzyknął Makolągwa, zobaczywszy przed sobą kompanię dwudziestego pułku piechoty, którą prowadził nadporucznik Jerzy Dobrodzicki. Cwancygiery z Matką Boską z nami! To ci będzie łaźnia dla Moskali!

— Jak się macie Antki krakowskie? — odpowiedzieli chórem górale zakopiańscy i sądeccy.

— Będziemy prać? Co?

— To się wie! — odpowiedzieli Antki. Oficerowie zaczęli parskać ze śmiechu.

W tej chwili zjawił się na spienionym koniu przed pułkownikiem Kandlem, pułkownik 56 pułku wadowickomyślenickiego, Madziara, w towarzystwie dwóch swoich kapitanów Ryłskiego i Kiernika, oddając mu jakieś ważne rozkazy.

„Stara kość krakowska“ odrazu poznała swojego dawnego, ukochanego kapitana, więc z gardzieli żołnierskich we wszystkich kompaniach trzynastki zagrzmiało naraz:

— Niech żyje pan pułkownik Madziara! Vivat!

— Zdrowo chłopcy! z Bogiem! — odpowiedział rozrzewniony tem przyjęciem serdecznem dawnych swoich żołnierzy pułkownik.

— Pamiętają cię jeszcze i jak widzę bardzo kochają — zauważył z uśmiechem pułkownik Kandler.

— To szczere złoto, nie żołnierze! — odpowiedział Madziara. — Ale i nasi nie gorsi od twoich! Może mniej animuszu, ale za to zaciekle górale, że strach! — rzekł z dumą.

— Wiem o tem, wiem, mój kochany! I dumny jestem z mojej trzynastki!

— Poznasz ich dopiero w polu! Ale trzymaj ostro w garści, bo oni na Moskala zażarci, jak pies na kota! Powiedz to twoim podkomendnym oficerom, bo będziesz miał biedę z nimi! Oni bez rozkazu wymykać się gotowi na polowanie za Moskalami! Ja ich znam dobrze!

— Nie bój się, zarządziłem, co należy. Ale co to? Spojrz za siebie! Twój pułk z nami?

— A jakże! Zaraz się tu zjawi także i Bijak ze swoim tarnowskim pięćdziesiątym siódmym.

— To wybornie! Koniak pijesz? — rzekł pułkownik Kandler, podając Madziarze manierkę.

— Nie! Dziękuję ci bardzo! Cierpię trochę na żołądek i na nerki.

— Szkoda! Twoje zdrowie!

— Zdrowie kolego!

Tymczasem pojawił się pułk pięć-

dziesiąty szósty. Chłopy zdrowe, jak smoki, o bystrych, przenikliwych oczach. Ustawili karabiny w kozły i czekali dalszych rozkazów, ćmiąc papierosy, bo rozkazy oficerów opiewały na razie na: Spocznij!

— Jak Boga mego! — krzyknął Antek Makolągwa z szeregu — to i „Jacki“ z nami?

— Mają faję? — odezwało się z szeregów trzynastki.

— Oddaj cara! — odpowiedziała pięćdziesiątka szóstka.

Rachunki były wyrównane.

Na prawo ukazały się różowe wyłogi pięćdziesiątego siódmego pułku tarnowskiego. Postawa oficerów i żołnierzy poprostu wspaniała.

Makolągwa znowu nie mógł się oprzeć na ich widok, żeby w ich stronę nie krzyknąć:

— Serwus Antki ze Strusiny!

— Serwus Antki zwierzynieckie! —
huknęli w odpowiedzi Tarnowiacy Kra-
kowiakom.

— Idziecie na bal?

— Ano juści! Wy też?

— A jakże! Nawet z orkiestrą! Ar-
tylerya nasza już im tam wygrywa! tym
psiaparom Moskałom!

— Będziemy prać?

— To się wie, że będziemy! A od
czegoż jesteśmy? Myślicie, że jemy
chleb komiśny za darmo, tak jak wy?

— Tylko się tak bardzo nie prze-
chwalajcie! Zobaczymy, który pułk się
lepiej spisze, nasz, czy wasz.

— Rozumie się, że nasz! — rozległo
się w trzynastce.

— Zobaczymy po pierwszej bitwie! —
odpowiedzieli Tarnowiacy. — Tylko się
nie pomylcie! — dodali — bo wyłogi
mamy podobne!

— Już my się tam nie pomylimy!

— I my też!

Wtem na drodze od Zaklikowa ukazał się samochód w kłębach drogowego pyłu, z którego wysiadł w zwykłym żołnierskim płaszczu generał Dankl, dowódzca armii, ze swym sztabem. Bystre źrenice, marsowa postawa, ruchy elastyczne, prawie, że młodzieńcze zdradzały w nim urodzonego wodza.

Zrozumieli to w mig żołnierze i stanawszy na „baczność“ wpatrywali się w niego z jakąś bezbrzeżną ufnością i miłością, gotowi iść, gdzie każe, choćby na śmierć pewną.

Jenerał spojrział z pod krzaczastych brwi na swoich wiarusów i niedostrzegalny uśmiech zadowolenia przemknął mu po twarzy.

— Oficerowie do mnie!

Naokoło wodza utworzyło się w jednej chwili półkole.

Znowu przemowa, jasna i treściwa.

Dyspozycje zostały wydane i generał, wsiadając do samochodu, krzyknął ze sztabem, do żołnierzy:

— Z Bogiem! Z Bogiem chłopcy!

— Hurra! — zagrzmiało w odpowiedzi w żołnierskich szeregach.

Po chwili samochód z wodzem znikł na drodze.

Oficerowie wydobyli szable z pochew i stanęli na czele kompanij swoich pułków.

— Zanosi się widzę na jakieś większe wesele — odezwał się rezerwowy porucznik Ryszard Laskowski do Dubiela, bo nas, widzę, sporo.

— Coś i mnie się tak zdaje, że może jeszcze dziś spotkamy Moskali. Patrz! Co za łuna! Pałą widać rabusie i to blisko.

W tej chwili nad głowami żołnierzy zaskowyczał pierwszy granat, potem drugi i trzeci i zaczęła się piekielna kanonada.

— Naprzód! W pochód! — zagrzmiało po kompaniach pułku.

Za budynkiem stacyjnym żołnierze odrazu rozsypali się w linię tyralierską. Bataliony rozwinęły się, jak węże, sprawnie, gładko. Jedne oddziały jako straż przednie, inne jako flanki i straż tylna. Za nimi kompanie rezerwowe. Cała droga zavalona była pociągami wojskowymi i wozami z amunicją. Samoloty furkały pod roześmianym błękitem, jak ptaszki. Upał był ogromny. Ale trzynastacy szli, jakby nigdy tornistrów nie mieli na plecach, roześmiani, ze śpiewką na ustach. Po kompaniach zaczęły się rozlegać śpiewki i żarty.

„Siedzi Maciek na przypiecku
I płace! Mta-rara i płace,
Kasia się go dopytuje, cego chce?
Mta-rara — cego chce?
Mta-rara — cego chce?“

rozległo się z kompanii kapitana Kraupy.

— Śpiewajcie sobie, śpiewajcie! — urągnął Makolągwa. — Zaraz nas będą chrzcili.

— My już wszyscy chrzczeni wodą święconą — odpowiedział ktoś z tamtej strony.

— To teraz będziecie chrzczeni ogniem Moskali na wiarę prawosławną — odpowiedział Makolągwa.

— Niedoczekanie ich! Już my ich sobie „pożyczymy“.

— To lubię! — krzyknął Makolągwa — prać, co się zmieści!

— Makolągwa! będziesz ty raz wrzeszcie cicho! — huknął kapitan Filimowski. — To nie jest zgromadzenie! udowe! To wojna! wiesz?

— Melduję najposłuszniej, panie kapitanie, co już nic nie powiem!

Była godzina czwarta po południu, kiedy od strony wsi, ku której zmierziała trzynastka, przycwałował pełnym

galopem porucznik, Wojciech Biesiadecki i zaraportował kapitanowi Fili-mowskiemu, że we wsi są już trzy szwadrony dragonów rosyjskich, a za nimi zdąża brygada rosyjskiej piechoty.

— Siła złego na jednego! — mruknął kapitan. — Rozkaz jaki?

— Oto jest — rzekł Biesiadecki — podając kapitanowi kartkę. Wziąć wieś za wszelką cenę i nie pozwolić się Moskalom okopać. Punkt bardzo ważny! — to rzekłszy, zasalutował, spiął konia ostrogami i ruszył z ułanami w prawo, żeby oddać dalsze meldunki.

— No chłopcy! Zaczyna się! Zaczynamy w imię Boże! Dubiel, chodźno do mnie. Widzisz tę brzezinkę na lewo?

— Widzę.

— Weźmiesz siedmiu ludzi, ale takich, jak Makolągwa, co to są „z wiary“, skoczysz w brzezinkę i będziesz obserwował, co się dzieje we wsi. Telefon

zabierz ze sobą i donoś o wszystkim osobiście. A skryć się dobrze i nie strzelać, dopóki byście nie byli zaczepieni. Łączniki między tobą, a kompaniami będą rozstawione, a w razie czego doskoczymy.

— Według rozkazu!

— Makolągwa, Kołodziejczyki, Broniec, Ziółkowski, Popiel i Karaś do mnie! — krzyknął Dubiel.

Wołani w jednej chwili wyłamali się z szeregów i stanęli koło Dubiela.

— Rozkaz słyszeliście. Żeby nas Moskale nie spostrzegli, musimy do lasku podpełznąć. Ani mi się ważyć łbów podnosić! Musimy iść cichcem, bo jakby nas Moskale spostrzegli, to nas wytłuką, jak kaczkę.

— Panie kadet! Abo mi to pełzanie dziwne! Jakem był małym brzdącem, to też pełzałem na czworakach, to sobie

teraz odświeżę w pamięci, jak to było—
wtrącił Makolągwa.

— Dobrze, już dobrze! A teraz na-
przód! — To rzekłszy, skoczył pierwszy
w zagon niezebranej jeszcze pszenicy
i rzucił się, jak długi na ziemię. Za
jego przykładem poszli żołnierze.

Po godzinie podpełznęli w brzezinkę
i zaszyli się w niej tak, że ich przez
najostrzejsze szkła nie można było doj-
rzeć. Karaś był najbardziej zmęczony.
bo oprócz rynsztunku musiał wlec za
sobą wałek z drutem od telefonu.

— Wawrzek! Tyś najmocniejszy z nas.
Podsadź mnie na drzewo! Muszę zo-
baczyć, co się dzieje w Zaklikowie —
odezwał się szeptem Dubiel.

Wawrzek Broniec chwycił Dubiela
na ręce i w jednej chwili wsadził go
na gruby konar brzozy.

Dubiel przyłożył do oczu lornetę po-
lową i skierował ją w stronę wsi.

We wsi było rojno. Dragoni rosyjscy rozkulbaczyli konie i zgrupowali się koło studni z wiaderkami.

Żóraw studzienny kiwał się, jak żyd po szabasie.

— Panie kadet! Dużo tam tych psu-bratów? Możebyśmy ku nim skoczyli? Co? — odezwał się Makolągwa.

— Cicho! Czekaj rozkazu! — syknął Dubiel.

— Kiedy mnie ręka strasznie świerzbi — odparł Makolągwa.

— I mnie też — przyświadczył Popiel.

— Telefon w porządku? — zapytał Dubiel.

— Coby nie? panie kadet! Wszystko w porządku! Słyszę przez słuchawkę, jak komar na wieży Maryackiej skrzydełkami rusza.

— Dawaj tubę Karaś!

I Dubiel szepnął coś kapitanowi Filimowskiemu.

— Skoro zmrok zapadnie, podsunąć się bliżej do wsi i nie strzelać, chyba Moskale spostrzegli i zaczęli pierwszy. Łączność z batalionem utrzymywać za wszelką cenę i donosić o każdym szczególe! — rozkazał Filimowski.

— Karaś, ściągniesz za chwilę pudło z telefonem i podpełzniemy bliżej wsi! Papierosów mi nie palić! Kryć się dobrze i ślepa mieć w porządku! — wydał rozkaz Dubiel, przykładając znowu lornetę do oczu.

— Jakto? Znowu będziemy udawać małe dzieci i pełzać, panie kadet? — odezwał się szeptem Makolągwa. — Wolałbym, żeby się to raz zaczęło!

— Cicho Makolągwa! Niema rozkazu!

Tymczasem zaczęło się na dobre ściemniać. Nad wsią poczęły się unosić dymy i światła ognisk obozowych.

— Widać czują się pewni, że nie

wysłali w naszą stronę patroli i warzą strawę na wieczerzę — szepnął młodszy Kołodziejczyk.

Ale Kołodziejczyk się mylił. Moskale nie byli tak naiwni. Za chwilę ukazało się przed patrołą trzynastki dwóch jeźdźców na niskich, długoogoniastych chmyzach w wysokich papachach.

— Makolągwa, Broniec i Popiel uważać! Mamy przed sobą patrol kozacką. Jeżeli najadą wprost na nas, podskoczyć ku nim z nienacką i pościągać z koni! Jeżeli nie, to przepuścić i siedzieć cicho! — rozkazał Dubiel.

— Nareszcie! — westchnęli wszyscy trzej z ulgą.

Kozacy jechali tymczasem stępa zupełnie spokojnie, jeden obok drugiego i ćmili papierosy, których błyski doskonale oznaczały odległość od zasadzki. Kiedy się zbliżyli na odległość jakich pięciu kroków, nagle ze zboża wysko-

czyły trzy ogromne cienie i rzuciły się na nich, jak żbiki.

Makolągwa huknął swojego kozunia kolbą karabinu przez łeb, że spadł ze siodła, jak długi na ziemię, drugiego zasię chwycił olbrzym Broniec za gardziel potwornemi swojemi łapami i zaczął go dusić, że mu oczy na wierzch wylazły. Popiel już był przy uźdzeniach i przytrzymał konie, które zaczęły bić zadami.

Duszony kozak chciał się bronić, ale Broniec zdarł go w jednej chwili z konia, zwałił się na niego kolanami i przycisnął mocniej kleszcze. Kozak zaczął trzepać rękami.

— Popuść! Ma dość! — krzyknął Dubiel, który tymczasem nadbiegł z rewolwerem w garści.

Broniec popuścił i kozaka rozbrojono.

— Dać mu wody! może przyjdzie

do siebie! Trzeba go przesłuchać! — rozkazał Dubiel.

— Wódka mu zrobi lepiej, ja go znam! — odezwał się Kołodziejczyk, podsuwając na poły zduszonemu kozakowi manierkę.

Gorzej było z drugim.

Tego „pożyczył sobie“ Makolągwa tak dokumentnie, że farbował, jak fontanna krwią, która mu ociekała z głowy.

— Ładnieś go urządził! — pochwalił Dubiel. — Ten to już naprawdę wojnę skończył. Ale teraz trzeba mu dać łyk wody i przewiązać ranę. On już nasz i jeniec! Więc krzywdy nie robić! — rzekł Dubiel.

— Dyc' mu już żadnej krzywdy nie robię, panie kadet — zamamrotał Makolągwa. — Jestem przecież chrześcijanin i rannego dobijać nie będę, ino nie wiedziałem, że zejdem na wojnie na sa-

niteta! — dodał, przewiązując rozwaloną głowę kozakowi.

— Popiel! Odprowadź jeńców i konie do pana pułkownika Damaszkii!

— Wedle rozkazu!

— Reszta zostaje ze mną!

Za chwilę stało się, jak rozkazał Dubiel.

Tymczasem od strony wsi zaczęły się odzywać jakieś przeraźliwe jęki i naraż słuł ognia buchnął pod niebo. To kozacy zaczęli swoją gospodarke.

Wtem do patroli Dubiela doskoczył jakiś wiejski, może ośmnastoletni wyrostek, w parcianych porciętach, przewiązanych powróstem i z płaczem rzucił się ku niemu.

— Rany Boskie! Ratujcie panowie żołnierze! Ratujcie na miłość Boską! Te psy kozunie biją nasze matki i zaczynają wieś podpalać, za to, żeśmy nie pozwolili gwałcić naszych dziewczuch i stanęli w ich obronie! Ratujcie! Ratujcie!

W Dubielu i w żołnierzach krew zawrzała.

— Psiakrew! — padło jednogłośnie z ust żołnierzy i Dubiela.

Rzucili się biegiem z karabinami w dłoniach.

Doskoczyli do pierwszej z brzegu stodoły, ukryli się za jej węglami i bez komendy huknęli sześć strzałów w ciżbę kozuniów przy studni i sześć par nóg zadarło się w górę.

Kozacy puścili dziewczęta, zaczęli szukać broni i padli na ziemię.

— Prać! — ryczał Makolągwa.

Kozakom skoczyli tymczasem na pomoc dragoni rosyjscy i może z pół kompanii piechoty.

Zaczęło się stawać drobnej patroli trzynastaków gorąco, bo Moskale prążyli w stronę stodoły, jakby kto pluł grochem.

W tejże jednak chwili wyrósł, jak

z pod ziemi, kapitan Filimowski, z prawej strony wsi, a z lewej, porucznik Laskowski, z kompanii kapitana Tschedego i bluznęli w ciżbę moskiewską ołowiem.

Rozległ się nieludzki skowyt. Zakłębiło się wśród dragonów i kozaków, konie rzucały się jak szalone i zaczęły rzucać jeźdźców.

— Podpalić chłopcy stodołę! będziemy mieli cel lepszy! — ryknął tubalnym głosem starszy Modes.

Stodoła stanęła w płomieniach. Trzynastacy grzmieli bez przerwy z karabinów i robili jatki prawdziwe wśród kozuniów.

Ale i Moskale nie próżnowali, bo w parę minut pojawili się w sile trzech batalionów z pułkownikiem na czele, który wpadł do wsi na koniu.

Rzucił się ku niemu Laskowski ze swoim browningiem, ale zaledwie miał

czas wypalić, pułkownik rosyjski rąbnął go szablą przez głowę i porucznik zwałił się na ziemię. W tejże jednak chwili doskoczył Makolągwa i żgnął go bagnetem w ramię, a Broniec już go trzymał za gardziel w swych potwornych łapach i jednym pociągnięciem zerwał ze siodła, tak, że popręg pękł na brzuchu końskim.

— Nie będziecie, psubraty, gwałcić naszych żon i dziewczuch! — ryknął mu rozjuszony w twarz i zerwał pas z rewolwerem.

— Bierz go w tył! — krzyknął do Ziółkowskiego, który strzelał koło niego. — Przypilnować, żeby nie uciekł. Potem sam go odprowadzę. To jakiś zwierz grubszy!

Tymczasem trzynastacy nie mogli wytrzymać, pochwycili karabiny za gorące lufy i rzucili się, jak huragan, tłukąc po łbach, jak cepami, tak, że jeno

mózgi białą miazgą z krwią zmieszana
bluzgać zaczęły naokół.

Wobec tego zaczął się ze strony rosyjskiej podnosić coraz większy las rąk w górę i raz wraz zaczęło się rozlegać:

— Nie bij! Daruj żywot!

Albo:

— Stój! Ja Polak!

I trzynastacy zaczęli brać całe kupy „burków“ i odrzucać w tył za siebie. Reszta wraz z dragonami rzuciła się do ucieczki mając na karkach trzynastkę, która gnała za nimi, jakby opętana.

Niestety, ucieczka była niemożliwa, bo oto ni stąd ni zowąd wyłoniły się od tyłów rosyjskich, dwa szwadrony ułanów tarnowskich z rotmistrzami Trzczańskim i Dzieciołowskim na czele, z dywizyi generała Zaremby i zaczęli rąbać szablami na prawo i lewo.

Trzeba się było poddać.

I tak też zrobili.

Za rozbitą watahą uganiali nadal trzynastacy.

Broniec zziajany, oblany potem, wrócił do swojego jeńca, nie znając wcale jego szarży.

— Ładnych pan ma żołnierzy, co gwałcą i mordują kobiety! — bluznął mu z ironią w głosie.

— Psiakrew! Bydło, nie ludzie! — krzyknął wzięty przez Brońca pułkownik rosyjski po polsku, oglądając się jeszcze na swoich ludzi.

— To pan Polak? — zapytał Broniec, zdumiony tem odkryciem.

— Taki sam, jak ty — odpowiedział pułkownik spokojnie.

— I nie wstydzi się pan służyć Moskalom? — zapytał z odcieniem zdziwienia w głosie Broniec.

— Każdy służy temu, komu wierność przysięgał. — Rzecz honoru polskiego, nie zdradzić sztandaru, nie spla-

mić się niczem, coby honor Polaka naruszyć mogło. Wzięłeś mię, jestem twoim jeńcem, więc prowadź do sztabu! — rzekł, odpasując szablę i podając ją Brońcowi.

Broniec ściągnął bagnet z karabinu karabin założył na ramię i ruszył ku placówkom trzynastki, nie mówiąc nic, bo jako krakowiak z krwi i kości, nie mógł zrozumieć, jak Polak może służyć w wojsku rosyjskiem.

— Jeśli pan Polak — odezwał się po dłuższej chwili — to wierzę, że mi pan nie ucieknie, a zresztą nie radzę bo w pięści jestem mocny i wszystko mi jedno, kogo mam bić. Mundur grunt!

— Nie bój się! Nie ucieknę!

Broniec myślał...

Naraz odezwało się w nim dobre serce krakowskiego dziecka:

— Może się panu chce pić? Mam

w manierce ćwierć litra karpatówki, jeszcze z domu — odezwał się po dłuższej chwili.

— Daj, jeśliś taki dobry! Ty żołnierz i ja żołnierz! Równa dola! Twoje zdrowie!

— Zdrowie pana!

— Skąd jesteście?

— Z Krakowskiego. A wy?

— Z Warszawy.

— Tośmy przecież bracia.

— A tak, bracia! — jeno, że los tak zrządził, że musimy strzelać do siebie.

— To czemu się nam nie poddajecie? — zapytał Broniec.

— Bo honor żołnierski na to nie pozwala! A cóżby to o was powiedziano, gdybyście wy się nam poddawali?

— Czyby to nie był wstyd dla Krakowiaków?

— Ano juści, że wstyd, ale zawsze

to co innego, nasz cesarz, a co innego Moskal. Mało się to nas nagnębił? — dodał z goryczą w głosie.

Kiedy się zaczęli zbliżać ku stanowiskom austriackim, Broniec znowu nałożył bagnet na karabin.

— Przepraszam — rzekł — ale taki przepis.

— Rób, jak trzeba.

— Stój, kto idzie?

— Hasło?

— Wisła!

— Odzew?

— Warszawa!

— Przejdź!

I Broniec przeprowadził swego jeńca do komendy sztabu.

Tymczasem we wsi gwar bitwy poczynał cichnąć. Wystraszone wieśniaczki i dzieci powychodziły ze swoich ukryć i zaczęły wynosić wszystko dobre, na

co stać polską chatę i polskie przedobre serce.

Powynosiły sagany ze zsiadłem mlekiem, garnuszki z masłem, wianuszki domowej kielbasy, bochny razowego chleba i koszyczki z owocami. Śwarne dziewczuchy wiejskie zaczęły się uśmiechać zza węgłów chat ku ognistym oczom krakowskich dzieci.

— A może jeszcze mleka?

— A może jeszcze kawałek kielbasy?

— A skosztujcież, panie żołnierz, jabłuszek! Bardzo dobre papierówki!

— A niechże wam Pan Jezus szczęści, żeby się was żadna kula nie tknęła!

Żołnierze pousiadali na ziemi i popijali mleko, bo byli naprawdę utrudzeni i marszem i niedawną zwycięską potyczką, a na wszystkich twarzach jaśniała zwycięska duma. Oficerowie, którzy się znajdowali wśród żołnierzy, klepali tego lub owego po ramieniu

i uśmiechali się przyjaźnie do chłopaków.

Makolągwa, jak się bił poprzednio jak lew, tak teraz dokazywał cudów waleczności w jedzeniu.

Jadł naprzemian to gruszki, to kiełbasę, to chleb, to znów jabłka, a wszystko to zapijał mlekiem. Mlaskał przytem co chwila językiem, kłapał zuchwami, a buzia mu się ani na chwilę nie zamykała.

— A tośmy im dali łupnia! — mruzczał zadowolony. — Ten kozuń, com mu łeb przetrącił, przez całe swoje życie o mnie nie zapomni! Matuś! Dajcie tam jeszcze garnuszek mleka!

— A dyć pijcie, ile chcecie! Na to jest.

Był to garnuszek półlitrowy i to jedenasty z rzędu.

— Makolągwa! Nie pijże tyle, bo pęknie! — upomniał Dubiel.

— Muszę się skrzepić, panie kadet, bo jutro może będzie świeża robota — odparł Makolągwa i krzepił się nadal, tym razem łokciem kielbasy na zmianę.

— Spojrzno Karaś — odezwał się Ziółkowski, rozpinając bluzę i koszulę — co to być może, bo mi pod koszulą na ramieniu mokro i coś mnie zaczyna szczypać.

Karaś odwinął koszulę i spostrzegł małą ranę, w której tkwiła kula. — Z rany krew ciekła różową wstążeczką.

— Jakto? Nie wiesz, żeś oberwał kulą?

— Ani mi się śniło! Ale, jeżeli jest pod skórą, to wyciągnij, albo ją wygnieć!

— Możebyś poszedł z tem do lekarza pułkowego. Boję się, że cię będzie boleć!

— Nie trza piasku! Wygniataj!

I Karaś wygniół kule z rany, a Ziółkowski tylko zęby ścisnął mocniej.

— Teraz zawiąż!

Karaś zawiązał.

— A widzisz, masz pierwszą pamiątkę!

— Mogliby hycle trochę ostrożniej strzelać! Ale ja im się tam i tak jeszcze odwdzięczę! Sposobności będzie dosyć.

W tej chwili na spienionym koniu przyjechał w środek żołnierzy pułkownik Damaszka. Żołnierze i oficerowie zerwali się z miejsca.

— Jak się macie chłopcy! — przywitał ich wojskowym ukłonem — podkręcając siwego wąsa na ogorzałej twarzy. — Dzielnieście mi się dziś spisali, jak prawdziwe zuchy krakowskie! To dobrze! Ale to dopiero początek. Jutro nas dopiero czeka robota i to robota duża. Pamiętajcie, że cała armia na nas patrzeć będzie, więc mi się

trzymać ostro! Skoro świt, ruszamy na Kraśnik i wierzę, że mi moi chłopcy zawodu nie zrobią! Punkt trzecia nad ranem pozdrowi Moskali artylerya. Potem kolej na nas. Placówki zastąpi rezerwa, która dziś w ogniu nie była. Za chwilę zajadą kuchnie polowe. Po jedzeniu możecie sobie przez parę chwil pospać. Zbudzi was artylerya! Dobranoc chłopcy! Zdrowo!

— Zdrowo, panie pułkowniku! — odhuknęła wiara, dumna z pochwały ukochanego przez siebie komendanta.

W kompaniach rozlegało się tylko jedno zdanie:

„Kraśnik wziąć musimy!“

Zajechały kuchnie, rozdzielono chleb i gulasz, i rozłożono się, gdzie kto mógł, bo noc była ciepła. Pod głowy położyli sobie tornistry, a za kołdrę posłużył im ciemny strop niebieski.

Mimo zmęczenia, żołnierze jakoś po

tym pierwszym chrzcie ogniowym nie-
pędko zasnąć mogli.

Myśli ich biegły ku stronom rodzin-
nym, ku tym swoim najbliższym, któ-
rych zostawili w trwodze o swe wła-
sne losy.

Dubiel także zasnąć nie mógł. Uło-
żył się obok Brońca i podłożył sobie
płaszcz żołnierski pod głowę.

— Cóż mówiła Hanusia na odjezd-
nem? — zapytał, podając mu papie-
rosa.

— A cóżby? Już mówiłem. Spłakało
się biedactwo i prosiło, żebym był
zawsze przy tobie, a w razie czego
złego, bronił. Dała mi nawet medalik
z Matką Boską Częstochowską dla cie-
bie. Oto jest.

Dubiel ściągnął czapkę z głowy
i przytwierdził go nad bączkiem.

— Kocha mnie, myślisz?

— Coby nie kochała? Przecież ona

poza tobą świata Bożego nie widzi. Chciał się przecież z nią żenić Jasiek Zawada, co to ma czterdzieści morgów gruntu, a ona mu przez ciebie odmówiła.

— Biedactwo moje kochane! — szepnął rozrzewniony Dubiel.

— Czekał Wawrzek! Będziesz ty jeszcze tańczył na mojem weselu, skoro z wojny powrócimy zdrowo!

— I ty na mojem! Byle zdrowo wrócić.

— Ja myślę, że mnie ten medalik od Hanusi przed kulą ustrzeże.

— I mnie mój, od Wiktusi.

— No, a teraz trzeba trochę pospać bo jutro ciężki dzień nas czeka. Dobranoc ci, Wawrzus!

— Dobranoc, Romuś!

I zasnęli obaj, marząc o swoich dziewczętach.

Jeden tylko Makolągwa miał sen

przerywany po wczorajszym mleku i owocach.

O godzinie trzeciej rano, artylerya zaczęła budzić trzynastkę.

Żołnierze przetarli oczy rosą sierpniowej nocy i powstali.

To samo zrobili oficerowie.

Makolągwa dźwignął się ostatni.

— Widzisz Antek! Ciężki dziś jesteś jakoś, bo cię w dołku gnieść musiało. Czemużeś pił tyle mleka? — odezwał się Dubiel.

— To nie z mlika, melduję posłusznie, panie kadet, ino z tego, żem się oćpał chlebem i zjadłem trzy kopiaste menażki gulaszu.

— I nie pękłeś?

— A cóż to są trzy menażki? panie kadet? Broniec zeżarł siedem i dwa bochenki chleba, wypił do tego putnię wody i nic mu nie jest. O! widzi go pan, panie kadet, jak już znowu pije

mleko i zagryza chlebem? Wnet idziemy na ten Kraśnik, panie kadet?

— O szóstej rano. Teraz możesz sobie jeszcze pojeść!

— Ano to byczo! Panie kadet, nie wie pan, czy ten kozuń, com go wczoraj przetrącił, zipie jeszcze, bo mi go żal teraz, żem go tak oporządził.

— Nie wiem. Ale się nie bój! Pan doktor Pisarski już się tam nim zajął. Ale cóż to? Żałujesz go? Przecież to wróg!

— Pewnie, że wróg! Ino mi się zdaje, żem go trochę za mocno huknął w rozum kolbą.

— A jakby ciebie on huknął, żałowałby cię, myślisz?

— Pewnie, że nie! Ale to zawsze przecie człowiek, co miał matkę.

— Ano pewnie, że człowiek! Ale wojna nie jest od tego, żeby się bawić w żale. Grunt jest: bić!

— To też tak robię, panie kadet, ino, że to zawsze człowiek. I niech pan nie myśli, panie kadet, że dziś któremu co przepuszczę. Albo oni, albo my! Wolę zawsze, żeby my.

— Zuch jesteś! Mądrze rozumujesz!

— A cóż to pan myśli, panie kadet, że ino doktory mają rozum, a murarze to nie?

— Ho! ho! ho! — roześmiał się kapitan Raninger, który się przysłuchiwał tej rozmowie — Makolągwa znowu gada! Pogadaj tak lepiej z Moskalami dzisiaj!

— Coby nie? — melduję najposłuszniej, panie kapitanie.— Pożyczyłem ich sobie wczoraj, to dziś za nich zapłacę gotówką z mojego manlichera.

— Zapłać i za moją czapkę — odezwał się kapitan Raninger — bo mi ją przestrzelili wczoraj.

— Zapłacę, panie kapitanie! Jak mi

Bóg miły, zapłacę. I za Ziółkowskiego też zapłacę!

Tymczasem rozmowę przerwał rotmistrz Padlewski z czwartego pułku ułanów, który przypadł na koniu z mel-dunkiem. Pułkownik po przeczytaniu rozkazu ze sztabu, zawrócił w tej chwili trzynastkę w kierunku na prawo ku wzniesieniu, panującemu nad miasteczkiem Kraśnikiem, leżącym w kotlinie, nad którą z drugiej strony wznosił się dość wysoki brzeg pokryty lasem.

Las ten z lewej flanki już zaczął niepokoić pierwszy pułk opawskiej piechoty silnym ogniem karabinów ręcznych i maszynowych. Główne zadanie przypadło trzynastce i pułkowi 56, oraz 57-mu, które łącznie miały złamać linie rosyjskie w centrum, ustawione szeregami jedna za drugą w ośmiu tyralierach i umocnione w dodatku zasiekami z kolczastego drutu, oraz kara-

binami maszynowymi, umieszczonymi dla niepoznaki w lesie na drzewach.

Na ten las właśnie skierował kometant pierwszego pułku artylerji, pułkownik Truszkowski, ogień, niezmiernie żywy, podczas gdy baterje, umieszczone na skrzydłach, grzmiały bez przerwy granatami w zasieki drucziane i betonowane ziemianki, aby przygotować piechocie grunt do ogólnego ataku.

A po każdym wybuchu pocisku wylatywał słup ziemi na kilka metrów w górę, oderwane ręce, nogi, kadłuby końskie lub strzaskane koła od lafet armatnich. Huk był ogłuszający, bo i Moskale nie pozostali dłużnymi odpowiedzi naszym, mając zgromadzoną na tym odcinku olbrzymią masę dział dalekonośnych. To też strzelali na oślep salwami, zmieniając cel krok za krokiem, byle wymacać nasze stanowiska.

Ale strzały armat rosyjskich przeważnie przenosiły i pękały za naszymi liniami, czyniąc małe tylko szkody. — Trzynastacy leżeli tymczasem na ziemi, okopani, jak kto mógł, i żaden ani drgnął, mimo, że szrapnele pękały tuż nad ich głowami co chwila, a na niebie rozszalało się piekło prawdziwe.

— Ciepło ci? — zapytał Broniec Makolągwy.

— Jeszcze nie! Rozgrzeję się dopiero przy szturmie.

Nad stanowiskami trzynastki ukazał się tymczasem lotnik rosyjski i zaczął obniżać swój aparat, chcąc zaimponować swoją śmiałością.

— Pozdrów go z karabinu maszynowego! — odezwał się major Krakówka do rezerwowego porucznika Łonickiego.

Łonicki skierował na lotnika kara-

bin maszynowy, ale kule przechodziły mimo aparatu.

— Panie major! niech pan major pozwoli! Ja go wezmę na cel mojego manlichera! Mam dobre oczy, to go może dostanę — poprosił Makolągwa.

— Ja! Ja! Ja! — odezwał się w batalionie chór głosów żołnierskich.

— Dobrze! Pozwalam.

— Antek, bierz go!

Paff!

— A widzisz! Feler!

— Felek! Teraz ty!

Paff!

— Nie umiesz strzelać! Feler!

— A teraz ty, Broniec!

Broniec zmierzył się spokojnie z karabinu, strzelił raz i drugi, i samolot w jednej chwili przechylił się na bok i jak strzała spadł na ziemię, kryjąc pod swymi gruzami pilota i wywiadowcę.

— Brawo, Broniec! — krzyknęli trzynastacy, oklaskując Brońca.

— Cicho! To nie teatr! — upomniał porucznik Królikowski.

Major Krakówka poklepał Brońca po ramieniu.

— Zuch, chłopiec! — pochwalił.

— To mi się tylko tak udało, panie majorze — odparł skromnie Broniec.

Tymczasem na flankach rozległa się piekielna strzelanina. Zatrajkotały karabiny maszynowe z jednej i z drugiej strony, i artylerya austryacka zaprzestała ognia. To pułki tarnowski i wadowicki zaczęły atak na pozycye rosyjskie. Z tysiąca gardzieli mazurskich zawyło jedno, jedyne: Hurra! a potem pęd wściekły, jak burza...

A na samym czele pięćdziesiątki szóstki pułkownik Madziara, z wydobytą szablą, niebaczny na grad kul które dźwięczały koło niego, niby osy.

Tak samo pułkownik Bijak z pięćdziesiątego siódmego szedł na czele swoich Tarnowiaków, jakby na manewry.

Karabiny maszynowe rosyjskie robiły wściekłe wyrwy w szeregach, ale oto oba pułki już doskoczyły do pierwszych okopów z okrzykiem chrapliwym:

„Bij! Morduj!”

i zaczęli tłuc bagnetem i kolbą, co było przed nimi, odrzucając jeńców w bok poza siebie.

Moskale, którzy mieli kilka linii rezerwowych poza sobą, zaczęli oba pułki flankować. W tej chwili doskoczył jednakże pułkownik Puchalski ze swoimi góralami sądeckimi i zakopiańskimi z dwudziestego pułku i puścił po dwa bataliony na flanki z pomocą.

A rezerwowy porucznik Putek prażył tymczasem z karabinu maszynowego, co się zmieści. Strzały były dobrze wymierzone, bo co się wychyliła

linia rosyjska z okopów, kładła się w tej chwili trupem, koszona morderczym ogniem, jak łan dojrzałej pszenicy.

Trzynastka stała wściekła i czekała. Nie było jeszcze rozkazu.

Wtem, w centrum rosyjskiem, które stało naprzeciw trzynastki, zaczął się ruch jakiś.

Na to tylko czekał major Tomaszek.

— Szturm! — huknął.

A na to hasło trzynastacy wyrwali za swoim majorem w cztery kompanie, niby orkan, który łamie i druzgoce wszystko po drodze.

— Weź go!

— Bij!

— Pier!

— Weź mu młode! — ryczał Makolągwa.

— W łeb go! — wył Broniec.

Dopadli okopów i zaczęli rzeźniczą robotę.

Zapach krwi jeszcze bardziej ich podniecał, a już do najwyższej wściekłości pobudzał ich widok towarzysza broni, który padał na ziemię, trafiony wrażą kulą moskiewską.

Oficerowie stracili władzę nad ludźmi, którzy mimo strat, szli z zaciśniętymi zębami, prac własną pierśią Moskali przed sobą, niby tłoki jakiejś maszyny potwornej.

Wtem z lasu górującego nad Kraśnikiem, zagrzmiały karabiny maszynowe rosyjskie.

— Chłopcy! Las wziąć musimy! — krzyknął pułkownik Kandler i rzucił się pierwszy na czele trzynastki.

Bataliony za nim.

Zatrajkotały „maszynki“ rosyjskie i lunęły w naszych ołowie, jakby kto puścił wodę z sikawki.

Padł strzał i major Tomaszek runął śmiertelnie trafiony na ziemię.

Zobaczył to porucznik Reszka i Dubiel i krzyknęli obaj równocześnie:

— Zemsta za majora!

— Zemsta! wyrwało się z chrapliwych gardzieli.

Ludzie myśleć przestali. Nie obchodziło ich nic, tylko ten las przeklęty z którego padł strzał na ukochanego majora.

Przelecieli po okopach rosyjskich, jak burza i dopadli lasu.

Z drugiej strony doskoczył z pomocą kapitan Nowaczek z porucznikiem Gaudynem i zaczęło się wściekłe polowanie człowieka na człowieka w pojedynkę.

Wkrótce siedem karabinów maszynowych rosyjskich było w rękach trzynastki.

— Wyrwaliśmy im żądła! — krzyknął Popiel, zestrzeliwszy ostatni.

— Rezerwy są jeszcze za lasem!

— Naprzód! — wydał rozkaz pułkownik Krasser.

Trzynastacy znowu puścili się biegiem.

Niektórzy pozrzucali bluzy, zakasali rękawy i chwycili za lufy karabinów. Sprzykrzył im się bagnet, woleli młynka kolbami, po chłopsku.

Jeden tylko Makolągwa trzymał bagnet na karabinie przed piersią i gnał przed siebie, jakby burza.

Ale, gdzie tylko błysnął bagnetem, tam gasł żywot prawosławny.

A im większe wyrwy robiły kule moskiewskie w szeregach trzynastki, tem większa ogarniała ich zaciekłość.

Dopadli wreszcie ostatnich rezerw rosyjskich i rzucili się w okopy. Kapitan Koniakowski w pięciu ludzi sam

jeden wybrał z rowu 180 Moskali i karabin maszynowy, nie licząc dwu oficerów, których odrzucił w tył za siebie, jako jeńców.

Kaprale: Balcer, Rogoziński i Sze-wioł wykłuli tymczasem na własną rękę całą obsługę rosyjskiej baterii.

Dubiel szalał na drugim końcu okopu z grupką swoich ludzi, którzy „pracowali“ tak dzielnie, że co chwila poczyniała się podnosić para rąk w górę i rozbrzmiewał okrzyk:

„Izdajęś!“

Jęki, wycia, krzyki i nawoływania w połączeniu z salwami karabinowymi były tak straszne, że trzynastacy prawie, że oślepli i pogłuchli.

Grzmieli naprzód, jak fala oceanu, która skały kruszy. Jeśli który dosłyszał okrzyk, brał jeńca i w tył za siebie odrzucał.

Wtem przed Makolągwą, który kłut

na oślep bagnetem każdego Moskala, co mu w drodze stanął, uklękła jakaś postać w rosyjskim mundurze i podniosła ręce w górę z okrzykiem:

— Na rany Boskie! Nie bij bracie! Ja Polak! Poddaję się!

Ale Makolągwa, czy nie dosłyszał, czy tak był oszalały wirem bitwy, że nie widział, pchnął mu w tejże chwili bagnet w piersi, aż po lufę karabinu.

Kiedy wyrwał z piersi zakrwawiony bagnet, tamten krzyknął tylko:

— Jezus Marya! — i zarył bladą twarzą w piasek.

Ten okrzyk w jednej chwili doprowadził go do przytomności. Krew ścięła mu się w żyłach, a po skórze mrowie przeszło. Zbladł, jak kreda, zaczął się trząść nerwowo, spojrzął mętym wzrokiem na Brońca, który biegł z nim razem i naraz łyzy puściły mu się strugą

z oczu, a z gardła wyrwał się jęk okropny:

— Rany Boskie! Co ja zrobiłem? Jezusie! Chryste! Co ja zrobiłem! Ja Kain! Ja zamordowałem brata! Boże! Co ja zrobiłem! Ratujmy go! Może jeszcze żyje?

I podbiegli obaj z Brońcem ku rosyjskiemu żołnierzowi.

Makolągwa rzucił się na leżącego i gęste łzy spadać zaczęły na twarz przebitego, który był jeszcze ciepły, ale już nie żył.

Makolągwa zaczął go całować po czole, po oczach, po włosach i skomlał ustawicznie:

— Zbudź się bracie! Zbudź!

Ale brat się już nie zbudził. Spał snem wiecznym z innymi braćmi Makolągwy i złączył się z nimi tam... w górze, n a p r a w d ę jak z braćmi...

— Chodź! Pamiętaj! Za niego i za

majora! Trzeba skończyć! — krzyknął Broniec i oderwał go od trupa.

Makołagwa wstał i poszedł za Broniecem, jak dziecko.

— Kara Boża mnie za to nie minie! — jęczał przez łzy. — Zobaczysz, że dziś jeszcze padnę. A jak padnę, odeślij matce ten medalik z Matką Boską Częstochowską, co mi go dała na drogę. I pozdrów ją i powiedz, że o niej myślałem w godzinie śmierci.

— Nie pleć głupstw! Co ci się znowu ubzdurało? Przecież to przypadek!

— Nie. Ja czuję, że padnę!

— E! Baba z ciebie!

Dopadli wreszcie do swoich, którzy pod komendą poruczników Weisera i Reszki kropili jeszcze z karabinów ku tylnym strażom rosyjskim, kryjącym odwrót Moskali.

Z flanki prażył na nich ogniem nadporucznik Netouschek wraz z poruczni-

kiem Hansem. Moskale odpowiedzieli gęstym ogniem. Trzynastacy znowu dali się ponieść swym wojackim animuszom i rzucili się na nich z bagnetem. Już mrok zapadać zaczął, a po zaroślach zmagął się jeszcze chłop z chłopem, już nie na bagnety, ale na pięści i to w pojedynkę.

W ten sposób Broniec zdusił może z pół kopy Moskali w swych żylastych chłopskich łapach. Właśnie zmagął się z jakimś syberyjskim olbrzymem, gdy w tej chwili nadjechało trzech kozaków, z których jeden rąbnął go szablą przez ramię.

Spostrzegł to Makolągwa i w tejże sekundzie zatopił kozakowi bagnet w piersi. Ale ledwo zdążył wyrwać bagnet, padł strzał z rąk drugiego i Makolągwa runął na ziemię, ugodzony kulą w głowę i nie wydał ani jęku.

Śmierć nastąpiła momentalnie. Do-

strzegł to Dubiel i celnym strzałem zwałił kozaka z konia, a za drugim, który uciekł, puścił się w pogoń jakiś ułan tarnowski i zarąbał go na drodze.

Zaczęło się robić ciemno.

Moskale uciekli i zostawili Kraśnik w rękach austriackich. O natychmiastowym pościgu nie było mowy, bo żołnierze byli szalenie strudzeni.

Kraśnik był nasz!

Zadanie dnia zostało ściśle wypełnione. Walka na dziś została przerwana.

Pole bitwy zaroilo się sanitaryuszami. Jedni zaczęli opatrywać rannych, drudzy unosić poległych, ażeby ich po chrześcijańsku pogrzebać. Było ich dużo i naszych i tamtych.

Broniec z Popielem i Karpińskim unieśli zwłoki Makolągwy z pola bitwy i przynieśli na miejsce, gdzie już zaczęto kopać groby dla dzieci krakowskich.

Po batalionie rozległ się jeden krzyk żałosny:

— Makolągwa padł! — i w kącikach oczu oficerów i żołnierzy ły się pokazały.

Żałowali wszyscy wesołego chłopca i dobrego dzielnego żołnierza. Toteż poprzyklękali kołem nad zastygłymi zwłokami tego krowoderskiego murarza, którego dzwony krakowskie na wojnę żegnały i zaczęły odmawiać Ojczyznę naszą.

Zaczęto znosić innych poległych i odpinać kapsle, ażeby stwierdzić nazwiska.

A kiedy przyniesiono zwłoki majora Tomaszka, służący jego, który stał za linią ognia i nic o jego śmierci nie wiedział, runął z płaczem na niego, jak długi i nie można go było od zwłok oderwać.

— Rany Boskie! Rany Boskie! — ryczał w spazmatycznym płaczu. — Pan mój dobry nie żyje! nie żyje!

Oderwano go wreszcie od zwłok przemocą.

Kapitan Żiwsa rozpiął bluzę poległemu koledze i wydobyl z niej portfel z papierami. Wśród papierów była mała dziecięca główeczka córeczki majora, fotografia żony i kartka, skreślona tego samego dnia do żony. Na kartce z notatnika wyrwanej słów tylko kilka:

„Jeśli padnę, pochowajcie mnie obok moich trzynastaków, których kocham jak ojciec i z których jako oficer jestem dumny. Płaszcz i szablę niech odwiezie służący żonie wraz z papierami. Testament mój znajduje się w przechowaniu u adwokata Kwiecińskiego. Żegnajcie i jeśli padnę, pomścijcie śmierć moją! Niech żyje Ojczyzna! Niech żyje Cesarz!“

Ostatniego tego pozdrowienia wysłuchali oficerowie i żołnierze ze łzami w oczach.

Noc już była ciemna, kiedy usypano ostatni kopiec na ostatniej mogile i krzyżek brzozy w nią zatknięto.

Oficerów pochowano obok żołnierzy. Łączył ich trud żołnierski za życia, złączyła ich śmierć.

Wszystkie twarze były poważne, ale ze wszystkich oczu promieniała duma, że

Kraśnik wzięty!

.
W niedługi czas potem nastąpiły znane wypadki. Moskale zalali Galicyę z dziesięćkroć większemi siłami i ze względów strategicznych armie nasze musiały się cofnąć, ażeby skoro pora stosowna nadejdzie, zadać wrogowi cios śmiertelny. Trzynastakom serca się ściszały z żalu, ale rozkaz trzeba było wypełnić. A kiedy Moskale zaczęli się zbliżać pod Kraków i wysłali na ukochany gród polskości najlepsze swoje pułki gwardyjskie, trzynastacy tak im prze-

trzepali skórę pod Skałą, że musieli uciekać tam, skąd przyszli. Nareszcie przyszła ofenzywa majowa i zaczęło się takie łamanie kości najeźdźcy, że w niecałe cztery miesiące prawie cały kraj został odzyskany i trzynastka raz jeszcze musiała prawie w rok okrążyć tensam Kraśnik zdobywać, aby mieć otwartą drogę do Lublina i móc zwolnić braci z pod knuta caratu.

I jak wzięła Kraśnik pierwszym razem, tak go zdobyła bagnetem po raz drugi. Dziwne uczucia miotać poczęły sercami żołnierzy, kiedy nagle przed ich wzrokiem wyłoniły się groby ich towarzyszy broni, już bujnem porośle kwieciem...

Pułkownik Damaszka wydał krótki rozkaz:

— Stanać! stój!... Uczcić poległych kolegów po broni!

I pochylił się trzykrotnie sławny sztan-

dar trzynastego pułku piechoty, szara masa żołnierska pościagała z głów czapki i uklękała.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a Światłość Wiekuista niechaj im świeci!“ — pomodlił się głośno pułkownik Damaszk, a za nim powtórzyli modlitwę oficerowie i żołnierze w powadze i skupieniu.

Broniec, który klęczał tuż przed krzyżem z nazwiskiem: Antoni Makolągwa — rzewnie się rozplakał i odpiąwszy jeden ze swoich trzech medali otrzymanych za waleczność, powiesił go na krzyżu kolegi.

Naraz pułkownik Hauser dobył szabli i krzyknął:

„A teraz żołnierze! Zemsta za tych waszych braci, co tu leżą we wspólnych mogiłach! Zemsta za naszych kolegów! Zemsta za tych, co jęczą z ran po szpitalach! Zemsta za braci waszych,

których gnębi carat. Na te groby święte przysięgnijmy zemsta!

— Zemsta! — zagrzmiało ponuro i groźnie w szeregach dzieci krakowskich.

I poszli naprzód przed siebie, lać krew purpurową na polach bitewnych, po nowe liście wawrzynu, na nowe zwycięskie boje, na chwałę polskiego żołnierza, na chwałę grodu, który ich budził hejnałem i hejnałem do snu układał...

KONIEC.



W najbliższym czasie ukażą się
w druku dalsze wojenne nowele

a mianowicie:

POD ZNAKIEM LEGIONÓW

Z dziejów bohaterskiej II. brygady.

Zestawił *Józef Teslar.*

ŻELAZNA BRYGADA

Rzecz o walkach 56. i 57. pułku
piechoty. Napisał *Edmund Bieder.*

PON PUŁKOWNIK ZIELIŃSKI

Z dziejów II. brygady Legionów.

Napisał *Edmund Bieder.*

WYDAWNICTWA „PIASTA“.

Dotychczas wyszły:

1. **„Pieśni i piosenki wojenne“.**
Część I. Zawiera utwory naszych żołnierzy, ich ojców i braci. Cena 20 hal.
2. **„Listy z rowów strzeleckich“,**
pisane przez naszych żołnierzy do „Piaста“. Cena 20 hal.
3. **„Śpiewnik żołnierski“.** Część I.
Wybór najpiękniejszych pieśni ludowych żołnierskich z nutami, zestawił *L. Schiller*. Cena 30 hal.
4. **„Mapy plastyczne“.** — 14 map wszystkich terenów wojny.
Cena razem 1 kor.
5. **„Zasiłki, zaopatrzenia i wsparcia państwowo“** — zestawił adw. *Dr Teofil Więctaw*. Cena 20 hal.
6. **„O co się wojna toczy i kiedy będzie pokój?“.** Napisał *Ludwik Szczepański*. 40 stron druku.
Cena 30 hal.
7. **„Nasi pod Kraśnikiem“.** Napisał *Edmund Bieder*. 100 stron druku.
Cena 40 hal.

Wszystkie te wydawnictwa są do nabycia w księgarniach i agencjach dzienników; można je też sprowadzać za poprzedniemi nadesłaniem należytości wprost z Administracyi. Adres: „Piaśt“, Kraków, Mały Rynek 4, I. p.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313652



000-313652-00-0

Naj
pism

naczel

„PIAST“

przynosi w każdym numerze dokładny przebieg wojny, dokładny wykaz poległych, rannych i jeńców według list strat, wiadomości o żołnierzach, artykuły polityczne i gospodarcze, przeglądy najważniejszych wypadków na świecie, zamieszcza dział dla nauki i rozrywki, dział dla kobiet, listy od Czytelników z kraju, zagranicy i z Ameryki, listy od naszych żołnierzy, słowem, daje obraz całego życia narodu i ludu polskiego.

„Piaśt“ kosztuje na rok 5 kor.

Cena pojedynczego egzemplarza
o 24 stronach druku 10 halerzy.

Żołnierze w polu mogą prenumerować „Piaśta“ przez pocztę polową.

Adres Redakcyi i Administracyi:

„Piaśt“, Kraków, Mały Rynek 4, I. p.